

4 OJCOWSKA CZAPKA Z DASZKIEM

Byłem szefem więzienia, jednego z najcięższych i najbardziej znanych w Polsce. To Zakład Karny nr 1 w Strzelcach Opolskich, popularnie zwany „jedyńką”.

Strzelce Opolskie – dźwięk tych słów do dziś wywołuje uniesienie brwi zarówno wśród tych, którzy łamią prawo, jak i wśród tych, którzy starają się im to wyperswadować. W pewnych środowiskach fakt odsiadki w Strzelcach kwitowany bywa gwizdem uznania. Krzysztof Kąkolewski, wybitny polski reportażysta, nazywał Strzelce polskim Spandau. Niemieckie więzienie w Spandau to potężna twierdza leżąca na peryferiach Berlina.

Gdyby nie to, że jestem człowiekiem starej daty i stronię od stadnych mód, także językowych, oraz to, że slang nie pasuje do mojej szarzy pułkownika, napisałbym nawet, że byłem szefem więzienia kultowego. Siedzieli tu: kat Powstania Warszawskiego, as wywiadu AK, twórca Bolka i Lolka, najślynniejszy oświęcimski kapo, płatny zabójca z Rosji i handlarz ludźmi z Ameryki, seryjni zabójcy, także płatni, wielcy aferzyści, znani oszuści, szpiedzy i w końcu wybitni opozycjoniści. Wielu znanych bandytów, ale i szara przestępcza masa. Przy czym słowa „masa” używam nieprzypadkowo. Zawsze było tu tłoczno, a rekord zaludnienia, choć może raczej należałoby napisać: przeludnienia, został tu pobity 29 lutego 1980 roku, gdy w celach przebywało jednocześnie 1762 skazanych.

Ta kultowość Strzelec w świecie przestępczym przejawiała się nie tylko werbalnie, ale i symbolicznie. Nieoficjalnym godłem skazanych, którzy siedzieli w Strzelcach, takim ich znakiem rozpoznawczym, były dwa skrzyżowane miecze, jakie tatuowali sobie na widocznych miejscach ciała. Coś na kształt emblematu jednostki wojskowej lub sprawności harcerskiej.

Nie od razu byłem tym szefem, bo to nie jest takie łatwe. Cokolwiek mówić o czasach PRL, w niektórych branżach obowiązywała wtedy ścisła

hierarchia i jasno określona ścieżka kariery, nie do przeskoczenia przez fakt posiadania patrona, który dużo może. Żeby awansować, trzeba było być fachowcem. Więzienie to nie jest spółka Skarbu Państwa, którą można powierzyć kochance ministra.

W 1969 roku przyszedłem do pracy w strzeleckiej „jedynce” i zaliczyłem wszystkie szczeble więziennej kariery. Byłem po kolei: strażnikiem, oddziałowym, zastępcą kierownika działu ochrony, zastępcą naczelnika, naczelnikiem, a po zmianie ustawy o Służbie Więziennej – dyrektorem. Na emeryturę odszedłem 30 kwietnia 2000 roku. 31 lat za tymi samymi murami! To o sześć lat dłużej niż najdłuższa odsiadka.

Na dodatek z tematyką więzienną stykałem się już od dziecka. Jako chłopak przymierzałem czapkę funkcjonariusza zakładu karnego. Ta czapka należała do mojego ojca, Stanisława, który pełnił służbę w SW przez ponad 30 lat, bo od 1946 do 1977 roku. Był funkcjonariuszem w Radomiu, w Jaworznie, a potem w Strzelcach Opolskich.

Gdy żegnałem się ze służbą, wygłosiłem do współpracowników i przyjaciół mowę, którą przypomniał mi niedawno pewien sędzia. Wspominałem w niej żartobliwie, jak w podstawówce nauczyciele wróżyli mi, że skończę w kryminale. Ale nie jako funkcjonariusz, a potem jego szef, ale jako... podopieczny. A było tak...

Strzelce po wojnie tonęły w gruzach i my, dzieci, fantastycznie się na tych gruzach bawiliśmy. Jako dwunastolatek wysadzałem dla hecy te ruiny w powietrze. Robiłem butelkowe bomby z karbidu, który podprowadzaliśmy z budów, gdzie służył do produkcji acetylenu potrzebnego do spawania. Wiadomo, wtedy nic nie było strzeżone.

Wkładało się odrobinę karbidu do butelki po oranżadzie, takiej z porcelanową klamrą, zalewało wodą i umieszczało w murze. Moja sąsiadka, Lucyna, za wcześnie wyszła z ukrycia. Kawałek szkła rozciął jej wargę aż do zębów, paskudna sprawa, szpital, chirurg. Oczywiście – apel w szkole i ja jako główny oskarżony. I litania złych słów pod moim adresem

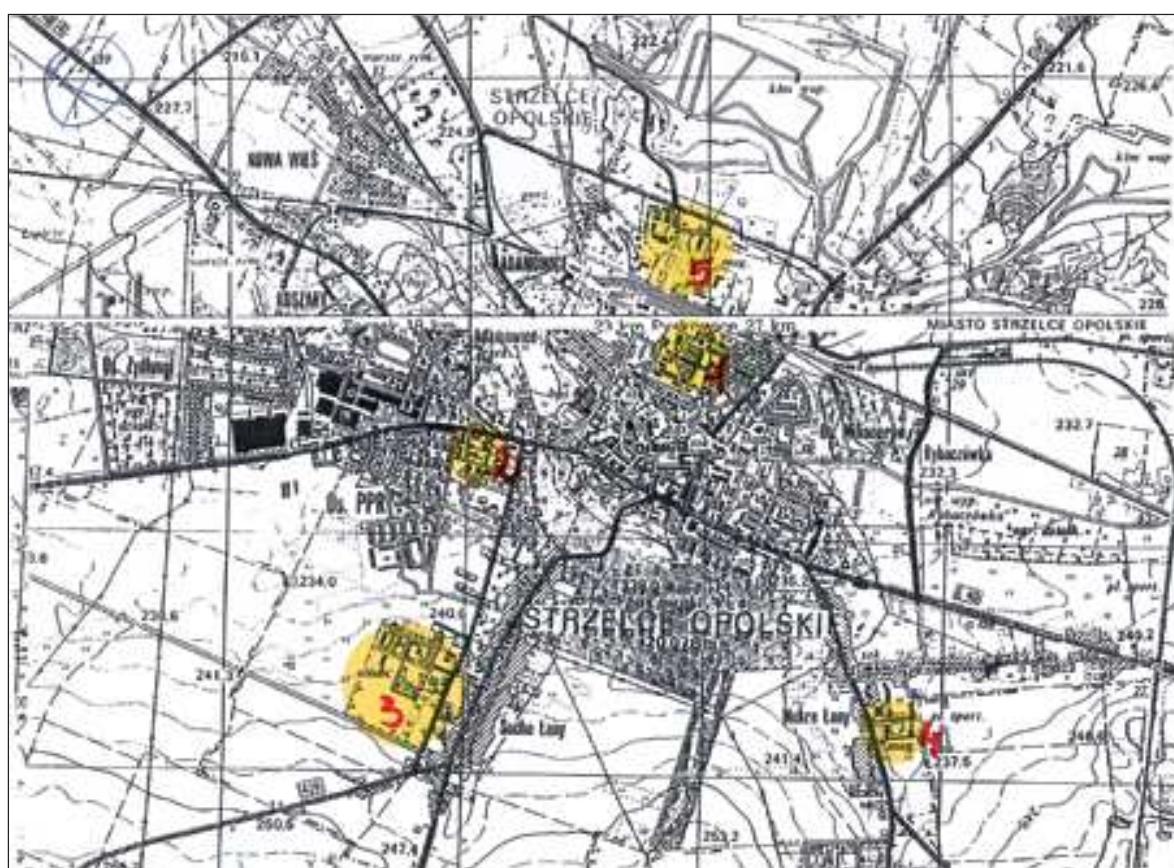
6 oraz proroctwo: „Nie skończysz nawet szkoły, Kucharz, bo ty wylądujesz w więzieniu”.

Szkołę jednak skończyłem, ale inną. Rodzice musieli mnie przenieść, bo nauczyciele nie dawali mi spokoju; dziś nazwalibyśmy to mobbingiem i pobieglibyśmy z tym do mediów. A w kryminale wylądowałem, to fakt, ale na szczęście w nieco innej roli, niż to dla mnie przewidziano. Ta nauczycielka zresztą też tu wylądowała, uczyła w więziennej szkole. A Lucynę widuję do dziś. Kłaniamy się sobie, nie ma do mnie żalu, choć bliznę jeszcze widać.

Zanim rzucę się w wir wspomnienia tego, co było w mojej pracy najciekawsze, najbardziej barwne, brawurowe, zdumiewające, a nierzadko zatrważające, kilka uwag porządkowych na temat specyfiki miejsca. O samym więzieniu – jego ciekawej historii i niezwyklej architekturze, które zresztą spowodowały, że gmach w 1996 roku trafił do rejestru zabytków województwa opolskiego – opowiem na sam koniec. Teraz kilka słów o Strzelcach Opolskich i ich więziennym kontekście.

Strzelce były przez lata szczególne, choćby z tego powodu, że przed wojną, za Niemca, wybudowano tu zakład karny po to, aby ożywić miasto, a po wojnie – od 1949 roku do 1969 – funkcjonowało tu aż pięć kryminalów. A dwa duże zakłady karne do dziś wpisane są w pejzaż miejsca. Można powiedzieć: miasto więzienne. Były to: Centralne Więzienie Karne, czyli późniejszy Zakład Karny nr 1, któremu podporządkowany był Zakład Karny nr 2 przy ulicy Gogolińskiej oraz dwa ośrodki rolne, w których pracowali więźniowie, wypracowując tam chleb nie tylko dla siebie, ale i społeczeństwa. Mokre Łany to był ośrodek karny dla kobiet, a Suche Łany – dla mężczyzn. Do tego Ośrodek Pracy Więźniów, czyli wapienniki, kamieniołomy, wypalanie wapna, tego typu roboty, nielekkie i kojarzące się nieco z katorgą. Wapienniki znajdowały się za torami, widać je było z więzienia centralnego. Stały tam baraki, w których mieszkali skazani.

Więzienia były we wczesnym PRL wpisane w plan gospodarczy narodowej ekonomii i musiały na rzecz tej ekonomii produkować. Naczelnik więzienia był rozliczany nie tylko z ucieczek skazanych, ale także z ich nieobecności w pracy. I tak jak w gospodarce na wolności wykształcił się wtedy specyficzny typ społeczny nazywany chłoporobotnikiem, który rano szedł do fabryki, a po fajrancie i na urloпах – w pole, tak w sieci więzień w całej Polsce zaczął funkcjonować typ, którego nazywaliśmy więźniorobotnikiem. Inna rzecz, że praca ma naprawdę walory wychowawcze.



Rozmieszczenie jednostek więziennych na terenie Strzelec Opolskich do końca 1969 r.

1 – Zakład Karny nr 1 (dawniej Centralne Więzienie), 2 – Zakład Karny nr 2 (dawniej Więzienie Karno-Śledcze i Izolacyjne), 3 – podośrodek pracy więźniów (mężczyźni), 4 – podośrodek pracy więźniów (kobiety), 5 – ośrodek pracy więźniów – wapienniki.



Przez wszystkie lata mojej służby w rozmaitych okolicznościach towarzyskich i zawodowych byłem najczęściej pytany o trzy sprawy. O strach, o sławnych strzeleckich więźniów i o uciezki. Widzę ogromną rolę mediów i popkultury w takim właśnie nastawieniu do mojej pracy. To one sprawiły, że więzienia kojarzą się tak „filmowo”. To właśnie dziennikarze stawiają najczęściej te nośne medialnie pytania: kto uciekł i kiedy, jakich tu mieliśmy gagatków, czy wybuchały bunty i czy my się ich baliśmy. Jakoś mało kto pyta o sukcesy resocjalizacyjne albo o historię zakładu, w którym pracowałem tak długo. A sami się z tej książki przekonacie, że są to tematy nie mniej fascynujące niż na przykład uciezki króla polskich zbiegów, Zdzisława Najmrodzkiego. On też zresztą siedział w Strzelcach, tyle że w „dwójce”, czyli Zakładzie Karnym nr 2. Bo w małych Strzelcach są dwa więzienia, a był czas, że było ich pięć. Ale o tym później. A Najmrodzki, choć owiany legendą króla zbiegów, nawet nie próbował z „dwójki” uciec.

Ale rozumiem ten kierunek zainteresowań, taki jest dzisiejszy świat, a może zawsze taki był, bo w końcu jeden z największych hitów filmowych powstawał nie na kanwie historii o budowie Alcatraz, lecz na motywach historii uciezki z tego słynnego więzienia.

Żeby nakarmić waszą ciekawość już na wstępie, omówię krótko pierwszy temat, czyli więzienny strach. Pytano mnie, czy nie bałem się swojej pracy. Albo czy nie bałem się, będąc w pracy. Czy na stałe nosiłem przy sobie broń i tym podobne stereotypy zaczerpnięte z filmów i literatury. Albo czy codzienne obcowanie z ludźmi, którzy dopuścili się okrutnych zbrodni, nie wpłynęło na moją głowę. Nie uczyniło gruboskórnym, co jest częstą odpowiedzią psychiki na bojaźń. Przy czym mało który z pytających wiedział naprawdę, ilu w Strzelcach przebywało morderców. Gdyby znał fakty, pewnie pytania nabierałyby dramaturgicznej ostrości. Bo bywały lata,

że przebywało tu za murami jednocześnie ponad 500 zabójców. Można by utworzyć ze dwa pułki.

Zerkam do notatek z początku swojej pracy. Rok 1969. 328 zabójców. 96 gwałcicieli. 192 rozbójników, czyli sprawców rozboju – z nożem, łomem lub kastetem. Wtedy jeszcze obowiązywała kara śmierci i można ją było dostać nie tylko za okrutny mord, ale i za afery gospodarcze. Od roku 1959 obowiązywała tak zwana specustawa wymierzona w tych, którzy godzili w podstawy gospodarcze socjalizmu. Gdyby utrzymała się do dziś, w Polsce nie byłoby chyba ani jednego biznesmena na wolności, tak była restrykcyjna. Opowiadano mi, ale i sam pamiętam odwiedziny takich aferzystów gospodarczych. Mimo że wcześniej sąd zarekwirował im majątki, ich kobiety zawsze przyjeżdżały tu w futrach i upierścienione. A co do zagęszczenia zabójców – a w takim roku 1975, czyli za środkowego Gierka, siedziało ich w strzeleckiej „jedynce” aż 569 – to wynikało ono nie z ich społecznego rozmnożenia, lecz z nowych przepisów, ale o tym jeszcze w tej książce opowiem.

Na pytania o strach odpowiadałem nieodmiennie w taki oto sposób: jak ktoś ma wśród skazanych szacunek, to nie musi się ich obawiać. Wtedy pytano, jak się taki szacunek grzeszników zdobywa: surowością czy spoufalaniem się? Ani tym, ani tym. Środowisko więzienne to środowisko stu nastrojów. Skłonne do różnych nieoczekiwanych zachowań. To wrzątek pod przykrywką, dlatego musimy nieustannie czuwać, żeby ciśnienie pod nią nie było zbyt wysokie. Ja zawsze lansowałem wśród skazanych i podwładnych taką zasadę: „Kaprala i sierżanta słuchaj. A dyskutuj z oficerem”. W praktyce ma to wyglądać tak, że zbój powinien wykonywać polecenia strażników, bo oni są od pilnowania porządku. A rozmawiać o swoich problemach może z wychowawcą, z kierownikiem lub z naczelnikiem. Gdy ja nim byłem, droga do mnie zawsze stała przed skazanym otworem. No, dobra... było na tej drodze kilka solidnie zamkniętych wrót, ale jak ktoś bardzo chciał, to i one się otwierały. Poza tym my, kadra kierownicza,

10 nie byliśmy zamknięci w swoich gabinetach, na swoich strzeżonych piętrach. Systematycznie wizytowaliśmy skazanych w celach mieszkalnych i w miejscu pracy. Złodzieje mówili na mnie za plecami „Andrzejek”, chyba to najtrafniej oddaje ich stosunek do mnie. Gorzej znosiła to moja żona, gdy słyszała czasami okrzyk zza krat: „Dzień dobry, pani Andrzejkowa!”

Czasem młodzi dziennikarze pytają mnie, czy jako naczelnik miałem swojego bodyguarda. Jakiegoś rosłego albo sprawnego w sztukach walki strażnika, który by mnie chronił w razie ataku. Nie miałem, choć zatrudniłem tu instruktorów walki, o czym jeszcze opowiem. W sytuacjach kryzysowych rozmawiałem ze skazanym na ogół w towarzystwie wychowawcy i w taki sposób, aby bardziej mu coś wyperswadować, niż się na nim odgrywać. Nie chodziło przecież o to, żeby pokazać, kto tu jest panem. Zbój dobrze to wiedział, kto rządzi w kryminale, i na ogół to respektował. A ta perswazja nie zawsze bywała łagodna. Tak, używałem ostrych słów, ale one bywały w takich sytuacjach konieczne. Rozmawiać w więzieniu ze zbuntowanym bandziorem salonową polszczyznę to tak, jakby wystawić drużynę szachistów przeciwko rugbistom.

Natomiast gdy czasami przyszło mi rozmawiać w moim gabinecie sam na sam z jakimś furiatem, to najpierw mu kazałem siadać. Gdy środek ciężkości obniżał mu się do poziomu zadu, zbój tracił rezon, schodziła z niego para. I już nie był taki wojowniczy. Poza tym chodziło też o to, żeby on wtedy nie stał nade mną, a ja z kolei żeby swoim siedzeniem nie stwarzał w nim wrażenia o swojej przewadze. Wzrok na tej samej linii i już była inna rozmowa. Mnie się to zawsze sprawdzało.

A przecież zdarzały się sytuacje, gdy ręce same zaciskały się w pięści, a ręka szukała broni. Na szczęście mieliśmy ją w depozycie. Jakie sytuacje? Na przykład zdarzenie z „Pętlarzem”.

„Pętlarz”, bo polował na kobiety z pętlą, podduszał je, a potem gwałcił. Też był z Katowickiego, jak słynny zabójca Marchwicki, to zresztą działo się już po wykonaniu wyroku na śląskim wampirze.

W przedsiębiorstwie na terenie naszego zakładu karnego podjęła pracę córka funkcjonariusza. Niedawno zdała maturę, zatrudniono ją w biurze. „Pętlarz” też tam pracował – w dziale skór miękkich. Gdy szedł do palarni, spostrzegł udającą się do toalety córkę klawisza. Dopadł ją tam, przydusił, ale na szczęście nie zdążył nic zrobić, bo inni więźniowie usłyszeli raban. Przybiegli strażnicy, obezwładnili „Pętlarza”. Sprawa poszła do prokuratora i dobrze facetowi nie wróżyła, bo za usiłowanie zabójstwa karano wtedy jak za samo sprawstwo. Poza tym bał się zemsty ze strony funkcjonariuszy, bo gdziekolwiek by go przenieśli, zawsze by za nim poszła zła fama tego, który rzucił się na córkę klawisza. No i powiesił się w celi.

Czy naprawdę dopadłaby go zemsta klawiszy? Trudno powiedzieć, bo człowiek jest tylko człowiekiem i choć w naszym zawodzie trzeba umieć trzymać na wodzy emocje, nie każdemu się to udaje. Bo życie potrafi pisać scenariusze, jakich nie wymyśli Hollywood. Oto inna tego rodzaju historia.

Pewnego dnia strażnik na wieżycze, były więzień Auschwitz, nieoczekiwanie zobaczył na spacerunku „Krwawego Franka”, który go męczył w obozie śmierci. To był jeden z najbardziej bezwzględnych oświęcimskich kapo. Strażnikowi puściły nerwy, zdjął z pleców karabin maszynowy, wycełował, lecz w ostatniej chwili coś kazało mu poderwać lufę i seria poszła w niebo. Na szczęście, bo na dziedzińcu była chyba setka skazanych.

O „Krwawym Franku” opowiem jeszcze, a teraz o innych sławnych więźniach. Czasem żartuję sobie, że skoro hotele w swych folderach promocyjnych chwalą się listą sławnych gości, tak samo powinny robić więzienia.

Napomknąłem wcześniej o filmowych tematach. Zacznijmy od Huberta Ś. vel Silberstein. Mówi wam coś to nazwisko? Nie? To powiem inaczej: Czesław Wiśniak vel Jacek Silberstein. Teraz już wiecie? Tak? Brawo!

